



CENTRE  
FOR COMPARATIVE  
STUDIES  
OF CIVILISATIONS  
JAGIELLONIAN UNIVERSITY IN KRAKÓW

The Polish Journal of the Arts and Culture. New Series 20  
(2/2024): 195–201 [WSPOMNIENIE]

<https://doi.org/10.4467/24506249PJ.24.026.20970>

## Gość z innej planety

Jerzy ILLG

Jednym z cudownych zdarzeń, z powodu których uważam się za życiowego szczęściarza, jest fakt, iż miałem zaszczyt cieszyć się przyjaźnią dwóch twórców, co do których byłem absolutnie pewien, że nie mają odpowiedników wśród istot zaludniających naszą planetę. Jednym był Staszek Barańczak, o którym Wisława Szymborska mówiła, że jego talenty można wytłumaczyć jedynie faktem, iż jest zielonym ludkiem, przybyszem z jakiejś innej galaktyki. Jego nieprawdopodobne zdolności rymotwórcze, operacje na języku, poczucie humoru w tym języku się ujawniające w połączeniu z porażającą erudycją i widocznym w jego własnych wierszach zmysłem metafizycznym utwierdzały mnie w przeświadczeniu, że kiedy największym komputerom przepalają się zwoje, Staszek – bawiąc się karkołomnymi rymami i tworząc na poczekaniu nowe gatunki – dopiero z lekka się rozgrzewa.

Drugim osobnikiem wyraźnie nie mieszczącym się w paradygmacie zwykłych śmiertelnych był Ireneusz Kania. Trwają dyskusje, czy znał 28 języków, czy też 23. Tłumaczył bodaj z 18, w tym z sanskrytu, tybetańskiego i pali, o banalnych wszystkich językach europejskich nie wspominając. Pamiętam osłupienie Roberto Calasso, szefa elitarnego wydawnictwa Adelphi w Mediolanie, wykwiutnego myśliciela i autora erudycyjnych prac o kulturze greckiej i indyjskiej, który spotkał się z Ireneuszem Kanią w Krakowie przy okazji jakiejś edycji Festiwalu Conrada. Gdy zobaczył listę autorów tłumaczonych przez Kanię, kręcił głową z niedowierzaniem: „Przecież to są wszystko moi autorzy: Eliade, Cioran, Kerényi, Graves, ale ja do każdego z nich potrzebuję tłumacza, a to z francuskiego, a to z rumuńskiego, a to z niemieckiego, a to z angielskiego – a ten facet robi to sam!”. Najbardziej niesamowita

była rozbijająca szczerłość i prostota, z jaką Irek mówił, że tego akurat języka nauczył się w miesiąc, tamtego, bo chciał w oryginale przeczytać *Boską Komedię*. Z równą łatwością ktoś inny mógłby przejrzeć gazetę i miałoby się wrażenie, że zajmuje mu to mniej więcej tyle samo czasu, co Irkowi opanowanie kolejnego języka.

Nie pamiętam dokładnie okoliczności, w jakich się poznaliśmy – zapewne przy okazji jego odwiedzin w redakcji, gdzie zwykł wpadać bez uprzedzenia. Doskonale jednak pamiętam wspólną przygodę, jaką było wydawanie w Znaku pomnikowej serii „Mity. Obrazy. Symbole”. Był to autorski projekt Ireneusza Kani. Jako jego redaktor proponował kolejne tytuły, niektóre sam tłumaczył (np. *Potęęę mitu* Josepha Campbella). Udało się skompletować fantastyczny zespół: do starannie wybranych przez Irka dzieł Lech Przybylski projektował wysmakowane czarne okładki z obwolutami i elegancko łamał środek, rozrzutnie pozostawiając u dołu kolumny przestrzeń, w której mogły swobodnie oddychać przypisy. Piotr Hordyński, szef zbiorów graficznych Biblioteki Jagiellońskiej, oraz Karolina Grodziska, kierująca takim samym działem w Akademii Umiejętności, dobierali szatę graficzną i ilustracje do dzieł, które w oryginale ukazywały się bez ilustracji, u nas zaś wyposażone były niejako w drugi, graficzny dukt narracyjny. W serii ukazało się ponad 20 tytułów, w tym dzieła takich klasyków jak: Mircea Eliade, Gerschom Scholem, C.S. Lewis, Jean-Paul Roux, Manfred Lurker, Umberto Eco, Roberto Calasso (*Zaślubiny Kadmosa z Harmonią*, ze wstępem Josifa Brodskiego – ukochana książka profesora Andrzeja Szczeklika). Z polskich autorów w serii ukazały się *Góry niewzruszone* Jacka Woźniakowskiego i *Pustelnicy i demony* Ryszarda Przybylskiego. Irek bardzo był z tej serii dumny i rzeczywiście stanowi ona jedno z najpiękniejszych i najambitniejszych dokonań edytorskich Znaku.

Przedmiotem dumy Irka była także klasyczna pozycja Giuseppe Tuccięgo *Mandala*, wydana z jego rekomendacji w Znaku w roku 2002. Do kogóż innego jak nie do tego znawcy buddyźmu mogliśmy się zwrócić z prośbą o przetłumaczenie do serii „Teologia żywa” *Aspektów buddyźmu* kardynała Henrięgo de Lubaca? Z kolei do *Dziennika azjatyckiego* Thomasa Mertona Ireneusz Kania opracował przypisy oraz słownik terminów i pojęć.

Tłumaczenie z hiszpańskiego *Słownika symboli* Cirlota dało początek legendarnej już, trwającej ponad 20 lat grze, jaką prowadziłem z Irkiem przy każdej okazji. Zaczęło się od tego, że wyznał mimochodem, iż musiał w tym słynnym słowniku poprawić ponad sto merytorycznych błędów różnego kalibru, od marginalnych po fundamentalne (można tu zaznaczyć, że w *Księgach Jakubowych* Olgi Tokarczuk, którym od razu po lekturze wróżył Nobla, znalazł jedynie trzy błędy, w tym dwa dotyczące nazw miejscowych). Gdy opowiedziałem o tym poecie i tłumaczowi Ablowi Murcii Soriano, poblądł,



szepecząc: „Przecież Cirlot to jest Biblia!”. Po takim wyznaniu naszego geniusza zacząłem go indagować: „Irku kochany, wszystkie te wielkie europejskie słowniki symboli: Cirlota, Chevaliera, Biedermanna, firmowane przez prestiżowe wydawnictwa jak Knauer czy Penguin, są dziełami niejako z drugiej ręki. Przecież jeśli chodzi o źródła, symbole czy święte księgi Wschodu, autorzy tych słowników posługują się przekładami niemieckimi, angielskimi, francuskimi; ty zaś sięgałbyś wprost do sanskrytu i pali, tybetańskiego i chińskiego, do hebrajskiego czy greki. Nikt inny na świecie nie potrafiłby stworzyć takiego słownika. I sprzedalibyśmy go na cały świat!”. Irek zignorował moje podniecenie, wyznając, że nie jest tym zainteresowany. Argument, że mielibyśmy – i on, i wydawnictwo – złote klamki, nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Do moich propozycji powracałem latami z podobnym skutkiem. Irka właśnie pociągało tłumaczenie kanonu palijskiego, *Suttanipāty*. *Zbioru nauk buddyźmu pierwotnego* czy kolejnego dzieła Ciorana. Pomysł, żeby stworzyć mały zespół, którym by kierował i który wyręczałby go np. w kwerendach bibliotecznych, też nie spotkał się z aprobatą. Był człowiekiem prawdziwie wolnym. Nie potrzebował sławy, jaką przyniósłby mu taki słownik, nie robiły na nim wrażenia honoraria, zaliczki i procenty, którymi – znając jego pełen dezynwoltury stosunek do pieniądza – nawet nie usiłowałem go mamicić. W desperacji sięgnąłem po argumenty na pograniczu szantażu: „Irku, jeżeli naprawdę mnie kochasz, zrobisz to dla mnie. Obiecałem sobie, że nie przejdę na emeryturę bez wydania twojego słownika – wszystko jedno: symboli, mitów, archetypów, toposów. Możesz zrobić, jaki zechcesz”. „Kocham cię – odpowiadał – ale w najbliższym czasie słownika tego nie zrobię, bo teraz pochłania mnie *Muttāvali*. *Księga wypisów starobuddyjskich*”. „No właśnie – tu molestowanie przybrało postać bardziej wyrafinowaną. – Irku, wszak nam obu bliski jest buddyżm, prawda?”. „Prawda”. „A co jest istotą buddyźmu? Współczucie dla wszystkich żywych istot cierpiących z powodu swej ignorancji. Możesz tutaj zgromadzić dużo dobrej karmy, oświecając pograżonych w niewiedzy”. „Słuchaj, do tego każdy musi dojść sam. Nie można tego zrobić za nikogo”. Przekomarzaliśmy się w ten sposób latami, właściwie do niemal ostatnich spotkań w saloniku w Austerii, gdzie regularnie co poniedziałek bywał z żoną Marią, zwaną przezeń Maricą.

Po drodze mieliśmy rozmaite przygody wydawnicze. Kiedy odwiedziłem go pewnego dnia, wyjął z szafki obszerny maszynopis. „Przetłumaczyłem dla własnej przyjemności *Greka Zorbę*. Nie byłem w stanie czytać od lat wznawianego przez Mużę przekładu Nikosa Chadzinikolau. Denerwowało mnie, że tłumacz nic z tego dzieła nie rozumiał. *Greki Zorba* to dzieło filozoficzne, ważną rolę odgrywa w nim nietzscheanizm, bergsonizm, buddyzm, a ten, kiedy czegoś nie rozumiał, opuszczał całe fragmenty albo coś



dopisywał. Poza tym jako człowiek, który dotarł do Polski po wojnie wraz z falą greckich imigrantów, w większości komunistów, ocenzurował tę książkę – opuścił trzy strony, gdzie Zorba opowiada o okrucieństwach rewolucji, jaką przeżył w Rosji. Tak mnie to złościło, że przełożyłem to dla siebie *con amore*. „Irku, ależ ja od razu to tłumaczenie od ciebie kupuję – wydamy to w Znaku”. Poniosło mnie trochę, bo kiedy zwróciliśmy się do właścicieli praw, Nikos Kazantzakis Estate, odpowiedzieli, że prawa do *Greka Zorby* ma w Polsce Wydawnictwo Muza. Tłumaczyłem, że przecież ich powinnością jest troska o to, by dzieła Kazantzakisa były dostępne na całym świecie w możliwie najdoskonalszych przekładach, tymczasem polski czytelnik nie miał w ogóle możliwości poznania prawdziwego *Greka Zorby* i dopiero teraz, dzięki doskonałemu tłumaczowi, będzie mógł poznać nie tylko wszystkie wymiary filozoficzne tego dzieła, ale także docenić artyzm tej książki, jako że przekład Irka był kongenialny, pachniały w nim zioła i pomarańcze, czuło się bryzę od morza i upał. Okazało się, że licencja Muzy wygasa za dwa lata. Kupiliśmy zatem tłumaczenie Irka, zapłacili za prawa, kiedy było już to możliwe i wydali arcydzieło Kazantzakisa.

Przypomniałem sobie opowieści Irka o ukochanej Krecie, gdzie zdarzało mu się w górach przysiąść w rowie z pasterzami i wdać w dyskusję w lokalnym narzeczu. Albo o rozmowie na tejże Krecie, w mieście Rethymnon, ze starym antykwariuszem o Kawafisie, którego *Wiersze zebrane* Irek przetłumaczył. Księgarz, wysłuchawszy go, udał się do piwnicy, skąd przyniósł przepiękne, oprawne w biały półskórek wydanie Kawafisa i wręczył mu je ze słowami: „Kto jak kto, ale pan zasługuje na to, by je mieć”.

Trudno określić Ireneusza Kanię jednym słowem. Na pewno w jego wypadku nie jest wystarczające określenie geniusz. Był oryginałem, chyba nie do końca świadomym swojej ekscentryczności. Był chudy, żyłasty, świetnie umięśniony, szybki w ruchach. W młodości odnosił sukcesy w zapasach i w skoku w dal, do niedawna podnosił ciężary, kiedy za długo siedział przy maszynie do pisania, urządzał sobie dla relaksu kilkudziesięciokilometrowe wyprawy na rowerze, świetnie pływał. Opowiadał mi o skokach do wody z wysokich skał na którejs z greckich wysp czy o przygodzie w upalnej Lizbonie, kiedy zgrzany po jeździe rozpalonym tramwajem na plażę z rozpędu wskoczył do zimnego morza, jakimś cudem nie doznając szoku termicznego. W naszym jubileuszowym kabarecie na 40-lecie Znaku „Pisarze do piórka” zaimprovizowaliśmy brawurowy dialog, kiedy Irek jako szalony petent oferuje wydawcy opublikowanie podartego tybetańskiego rękopisu, sutry o tytule składającym się z dziewięćdziesięciu liter, i japońskiego dzieła o znaczeniu samoofiary. Kiedy usłyszał ode mnie: „Panie, choćby mi pan tu na głowie stanął, ja panu żadnego z tych dzieł nie wydam”, ze zrezygnowaną miną udał



się na brzeg sceny, gdzie przez dwadzieścia minut stał na głowie, nie bacząc na to, że tuż obok niego tupali w deski tańczący rewelersi: Władysław Stróżeński, Henryk Woźniakowski, Bronisław Maj i Kazimierz Kutz.

Miał poczucie humoru, potrafił docenić dobry żart, godził się na udział w kabaretowych zabawach, ale w swej najgłębszej istocie był pesymistą. Nie żywił złudzeń co do kierunku, w którym zmierza gatunek ludzki. Niczym Witkacy upatrujący przyczyn upadku cywilizacji i kultury w zaniku uczuć metafizycznych, Irek świadom był duchowego i umysłowego zniaczenia ludzkości, powierzchowności jej zainteresowań, triumfu konsumpcjonizmu, banału i wygodnictwa nad autentycznymi wartościami i twórczym wysiłkiem. Był uczulony na głupotę, powierzchowność i bezmyślność epoki celebrytów i influencerów. Miał notes, w którym notował sobie różne wyczytane lub usłyszane lapsusy i idiotyzmy. Pamiętam, jak nie mogliśmy się naśmiać z kategorii „podmiotka liryczna”, jaką uczona feministka posłużyła się, analizując jakiś wiersz w „Znaku”.

Czasem zdarzało mi się radykalnie z Irkiem nie zgadzać. Jako ignorant przysłuchiwałem się z podziwem rozmowom o muzyce poważnej, jakie prowadził z Leonem Neugerem, dyrygentem Kaiem Bumannem czy mecenasem Stanisławem Kłysem, przerzucając się opusami, symfoniami i librettami, ale znając jego wzgardliwy stosunek do kultury masowej, nie usiłowałem nawet przekonywać go do mojego ukochanego rocka i bluesa, do Boba Dylana czy Leonarda Cohena. Jednak zabolęła mnie filipika wymierzona w *Dziwny jest ten świat* Niemena – do dziś pamiętam dreszcz, jaki przeszył mnie, gdy pierwszy raz usłyszałem ten hymn w czarno-białym telewizorze wykrzyczany przez Niemena w Opolu. Dlatego nie mogłem nie zaprotestować, gdy Irek pastwił się nad banalnymi odkryciami, że oto dziwny jest ten świat, a ludzi dobrej woli jest więcej.

Ireneusz Kania był człowiekiem skupionym na tym, co najważniejsze, i niesłuchanie poważnym. Poważnie traktował rozmówców, zagadnienia, które go nurtowały, powierzone mu zadania czy podejmowane prace. Bywał przy tym bezkompromisowy. Gdy organizowaliśmy w Znaku promocję tomu Miłosza *Na brzegu rzeki*, szczęśliwie złożyło się, że w Krakowie przebywał akurat Leszek Kołakowski (którego napisane oryginalnie po angielsku dzieło o jansenizmie i Pascalu *Bóg nic nam nie jest dłużny* spolszczył nie kto inny jak Ireneusz Kania). Kołakowski i ojciec Jan Andrzej Kłoczowski dopisali w książce Miłosza glosy do wiersza *Do Pani Profesor w obronie honoru kota i nie tylko*. Rzecz dotyczyła okrucieństwa i dociekania przyczyn zła. Do debaty z całym tym gronem na temat „Unde malum?” nieopatrznie zaprosiłem Ireneusza Kanię, prosząc go, ażeby możliwie krótko powiedział, jak buddyizm zapatruje się na pochodzenie zła. Temat był fundamentalny i Irek



fundamentalnie go potraktował. Nie bacząc na *body language* publiczności wijącej się na niewygodnych krzesłach, przez czterdzieści minut wnikliwie wyjaśniał nieproste wszak kwestie, wyczerpując doszczętnie słuchaczy.

Ale też jedynie Ireneusz Kania był partnerem dla uwielbiającego dogłębną dysputy Miłosza. Każda rozmowa z autorem *Ziemi Ulro* była egzaminem, podczas którego trzeba się było wykazać znajomością nowości literackich, głośnych artykułów w bieżącej prasie, fundamentalnych lektur czy zagadnień filozoficznych pochłaniających akurat poetę. Stając na palcach, zdawaliśmy ten egzamin z najwyższym trudem albo wstydliwie go oblewaliśmy. Jedynym rozmówcą, który mógł Miłosza prawdziwie usatysfakcjonować, był Ireneusz Kania. Ich obszerne rozmowy o buddyzmie czy Swedenborgu ukazały się w miesięczniku „Znak”. Nie zdążyli już porozmawiać o Kabale, do czego Miłosz chciał się przygotować. Kania dostarczył mu też sporej radości, odnajdując jego wiersz wydrukowany w gazecie rumuńskiej w czasie pobytu poety w Rumunii po wrześniowej klęsce 1939 roku. Utwór ten nie zachował się po polsku, a Irek przywrócił go polszczyźnie, tłumacząc go z powrotem z rumuńskiego.

Irek nie posługiwał się komputerem, swoją niewyobraźną wiedzę przechowując nie na dysku, a we własnych szarych komórkach. Bez dostępu do sieci i poczty elektronicznej docierał do wszystkich dzieł, które były mu potrzebne. Pisał ręcznie, potem przepisywał tekst na maszynie, ostatecznie go redagując, i oddawał wydawcy maszynopis nie wymagający już adiustacji. Na posiadanie komórki przystał stosunkowo niedawno, uznając to za zło konieczne. Na wprowadzenie stanu wojennego zareagował w ten sposób, że w prywatnych mieszkaniach zorganizował kurs nauki języka tybetańskiego. Liczba uczniów z kilkudziesięciu z czasem stopniała do dwojga – o tej porażce pedagogicznej Irek wspominał z goryczą.

Ujmującą cechą tego geniusza była skromność. Jego ego wydawało się odwrotnie proporcjonalne do jego mądrości. Musieliśmy włożyć naprawdę sporo wysiłku, by przekonać go do wyrażenia zgody na to, byśmy zebrali jego rozproszone teksty, eseje, wstępy i posłowania do tłumaczonych przez niego dzieł. Nie potrzebował uznania (nie mówiąc o rozgłosie), odnotowania kolejnej publikacji w bibliografii. Znał swoją wartość, ale obce mu były egotyczne potrzeby błyszczenia w mediach i świecie, który zrażał go swoją powierzchownością, blichтром pozornych karier i fałszywych hierarchii. Ostatecznie uległ moim zabiegom perswazyjnym (uwielbiał czerwone wino), dzięki czemu ukazał się w Znaku wspaniały zbiór jego tekstów *Ścieżka nocy* (2002). Na następne autorskie książki przyszło czekać długie lata. W tym czasie pojawiały się kolejne fundamentalne przekłady dzieł buddyjskich, *Opowieści Zoharu*, *Tybetańskiej Księgi Umarłych*. Kania wołał udostępnić czytelnikom



mądrość Wschodu, ważnych dla niego myślicieli, takich jak Cioran, Eliade czy Noica, dzieła Dalaj Lamy, Milarepy czy Mikołaja z Kuzy, aniżeli dzielić się mądrością własną. Dopiero w 20 lat po *Ścieżce nocy* ukazał się imponujący tom *Dług metaficzny. Eseje i rozmowy* (2022). W ostatnich latach Ireneusz, jak gdyby czując, że czasu pozostaje coraz mniej, w zaprzyjaźnionym wydawnictwie Austeria zaczął niejako nadrabiać zaległości, publikując serię książek dających wyobrażenie o rozległości jego zainteresowań, głębokich przemyśleniach i diagnozach stawianych współczesnej cywilizacji: *Pieśni losu* (2021), *Trzy przypisy do naszych czasów* (2023), *Czy możliwa jest uniwersalna filozofia muzyki* (2023), *Tłuk pięściowy i czerwone jabłuszko. Uwagi o przekładach poezji Wisławy Szymborskiej* (2023).

Dla mnie Ireneusz Kania był nie tylko fenomenem i geniuszem. Był człowiekiem totalnie wolnym. Wolnym od potrzeb, chęci posiadania, mnożenia dóbr. Jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał, były podróże – do ukochanej Grecji, do Portugalii, do Arles. O każdym z tych krajów miał imponującą wiedzę: o jego historii, kulturze, pieśniach ludowych. Nie posiadał samochodu, mieszkał skromnie z Maricą w niewielkim mieszkaniu na trzecim piętrze bloku bez windy, ubierał się w tanich jatkach. Tę fanaberię dzielił z Wisławą Szymborską, także uwielbiającą odwiedzać szmateksy. Ulegając tej pasji, odwiedzał mnie w Znaku, przynosząc za każdym razem po kilka marynarek z *second hand shopu*, przekonany, że będą na mnie leżeć jak ulał. Niestety, różniliśmy się dość znacznie parametrami i Irek z zawiedzioną miną zabierał za ciasne okrycia, nierzadko w ryzykownych kolorach.

Nie napisze już dla mnie najlepszego na świecie słownika symboli. W swoim ostatnim wielkim dziele, spełniającym wieloletnie marzenia przekładzie z palijskiego *Dhammapady czyli strof o Dhammie* (2023), żartobliwie tłumacząc się niejako z zawodu, jaki mi sprawił, wpisał mi następującą dedykację: „Drogi Jurku, oto – w Twoje ręce – rzecz dla mnie ważna, dla buddyzmu fundamentalna – która, mam nadzieję, częściowo bodaj mnie w Twoich oczach zrehabilituje. Z admiracją i wielką przyjaźnią, Irek”.

